

Życzę panom, byście z najlepszą wolą, licząc się z realnymi potrzebami życia, szukali rozwiązania wielkiego zagadnienia harmonijnego współdziałania władz państwa i to zarówno przez położenie nowych podstaw prawnych w tej dziedzinie, jak i przez zdrowe obyczaje codziennego życia. Wreszcie życzę panom w waszej pracy owocności, którą osiągnąć można, jak w każdej zresztą ludzkiej działalności, tylko wtedy, gdy wysiłki swoje i uwagę kieruje się na rzeczy istotne.

Podpisane przez Pana Prezydenta.

W imieniu Pana Prezydenta ogłaszam Sejm za otwarty.

Według ustanowienia Pana Prezydenta porządek dzienny dzisiejszego posiedzenia ma być:

- 1) przeprowadzenie ślubowania posłów,
- 2) wybór Marszałka Sejmu.

Według woli i mniemania Pana Prezydenta przewodniczyć zebraniu będzie p. poseł Bojko<sup>1)</sup>). Proszę p. posła o zajęcie miejsca.

Jako prezes gabinetu zaświadczam, że p. poseł Bojko złożył i podpisał ślubowanie poselskie na ręce Pana Prezydenta w mojej obecności dzisiaj na Zamku.

---

## WYWIAD Z REDAKTOREM «GŁOSU PRAWDY»

(1 lipca 1928 r.)

*Parlament obradował od dnia 27 marca 1928 r. do 22 czerwca 1928 r. W ciągu tych pierwszych trzech miesięcy życia nowego sejm u stosunki między nim a rządem stały się od razu napięte. Ciała ustawodawcze uchwaliły wprowadzić w tym czasie prowizorium budżetowe na okres od 1 kwietnia do 30 czerwca 1928 r., ale już przy uchwaleniu budżetu na r. 1928/29 partie opozycyjne lewicy i prawicy wstrzymały się od głosowania nad nim. Wnioski rządowe były systematycznie odrzucane nawet w pierwszym ich czytaniu, co miało charakter wyraźnej demonstracyjny. Wbrew zwyczajom parlamentarnym kandydatura na przewodniczącego Sejmu wysunięta przez najliczniejszy klub Bloku Bezpartyjnego została odrzucona, a jego wnioski poczynają być z góry skazane na przegrana wobec utworzenia*

---

<sup>1)</sup> Jakub Bojko był nauczycielem wiejskim, brał udział w życiu publicznym, był posłem na sejm galicyjski i do parlamentu austriackiego, w Polsce niepodległej był posłem i wicemarszałkiem Sejmu Ustawodawczego, senatorem i wicemarszałkiem pierwszego Senatu i posłem na sejm drugi.

się frontu wszystkich partyj sejmowych przeciw obozowi popierającemu politykę Piłsudskiego.

Piłsudski, który z chwilą, gdy Sejm rozpoczął próby obalania rządów, objął 2 października 1926 r. gabinet, przetrzymał koniec kadencji poprzedniego sejm, przeprowadził wybory i mimo że w owym czasie zaniemógł, nie opuścił swego stanowiska dopóki budżet nie został uchwalony. Z tą chwilą sesja budżetowa mogła być zamknięta. Stało się to dnia 22 czerwca 1928 r. W pięć dni później t. zn. 27 czerwca 1928 r. Piłsudski podał się do dymisji i tego samego dnia został mianowany gabinet Bartla, którego skład od poprzedniego gabinetu różnił się tylko tym, że tekę Ministerstwa Oświaty w miejsce Dobruckiego objął K. Switalski a tekę Ministerstwa Kolei w miejsce Romockiego Kühn.

Dnia 30 czerwca 1928 r. przyjął Piłsudski redaktora «Głosu Prawdy» Stpiczyskiego i udzielił mu wywiadu, w którym podaje motyw swego ustąpienia ze stanowiska premiera, krytykuje ograniczenie władzy Prezydenta Rzeczypospolitej przez Konstytucję marcową, krytykuje metodę pracy, która jest udziałem premiera, atakuje system prac parlamentarnych, zawiadamia, że będzie dalej kierował polityką zagraniczną i zapowiada, że przy każdym cięższym kryzysie stanie do dyspozycji Prezydenta.

Wywiad podajemy według «Głosu Prawdy» z dnia 1 lipca 1928 r., opuszczając wszystkie zwroty, mające charakter impresji redaktora Stpiczyskiego.

— Chce pan wywiadu? Oho!... to nie taka łatwa sprawa!...

— Dobrze, dam wywiad. Ale...

— Po pierwsze — wszystko, co powiem, musi być wydrukowane bez żadnych zmian i opuszczeń. Wolno wam pisać komentarze, jakie chcecie, ale zmieniać moich słów nie wolno. To warunek pierwszy.

— *A drugi?* — *pytamy pośpiesznie.*

— Drugi jest następujący. Widzicie, ja umyśliłem sobie uczynić mały luksusik, na który termin już mi zapadł. Na ten luksusik muszę koniecznie zapracować specjalnie pieniądze. Otóż postanowiłem, że pracą tą będzie wywiad dla prasy.

— *Czy mógłby Pan Marszałek zdradzić tajemnicę tego luksusiku?*

— Oho!... No, ale dobrze. Nie wiem tylko, czy pan będzie zadowolony z tego, co powiem, ale... niech będzie!... Już przed trzema laty spotkałem dwoje istot, które mnie niezmiernie rozbawiły. Dążyły one do bardzo skromnego, lecz zupełnie wspólnego im celu. Celu, który, sądziłem, rozmawiając z nimi, jest dla nich i miłym, i nawet jak gdyby czyniącym życie bardziej radosnym. Na drodze do realizacji wspólnych usiłowań stały jedynie słowa i pojęcia, inaczej formułowane. Ile razy

byłem przy rozmowach tych istot, tyle razy pękałem ze śmiechu, gdyż oboje zaczynali rozmowę tak, że prowadziła ona do kłótni, nigdy do zgody. Wobec tego, że w Polsce spotykam to zjawisko bardzo często, wziąłem ich sobie za typ, za coś, co jest zupełnie stylowym dla stosunków polskich. I dlatego rok rocznie parę razy sprawdzałem, jakżeż ta wspólna praca życiowa tych istot wygląda. Przy jednym takim sprawdzaniu usłyszałem najbardziej okrutne odezwanie się jej do niego: «Jeżeli pan znowu zaczyna w ten sposób, jak zwykle, to ja z panem przestaję mówić i nigdy widzieć się nie będę». Dlatego też, gdy w tym roku przy sprawdzaniu dowiedziałem się, że te istoty, w jakiś niewytłumaczony dla mnie sposób, podały sobie ręce do zgody i zdecydowały się, w daleko gorszych, niż dawniej, warunkach, na wspólną życiową pracę, postanowiłem sobie zarobić zupełnie specjalnie, poza budżetem domowym, parę tysięcy złotych, aby nieco ulżyć tym istotom i choć trochę zmienić niesprzyjające im być może warunki. Nazwisk, naturalnie, nie wymienię, gdyż nie chcę przeszkadzać tak zbożnemu porozumieniu przez «gazeciarzy», a może i interpelację w sejmie.

— Jeżeli ktokolwiek gdziekolwiek myśli czy sądzi, iż przyczyną mego podania się do dymisji ze stanowiska szefa gabinetu polskiego był stan mego zdrowia, — grubo się myli. Panowie lekarze, których zwołałem, na moje pytanie, postawione zupełnie oficjalnie i brzmiące:

— Czy Marszałek Piłsudski jest zdolny do pełnienia tych obowiązków, które dotąd pełnił, czy też nie? —

jednogłośnie odpowiedzieli, że o zdolności nie mogą w żaden sposób wątpić i nie mogą mi nie powiedzieć, iż wszystkie badania, nawet najbardziej sztuczne, wykazują zdolność niezminiejszą. Co prawda, dodali, iż skłonni są przypuszczać, że ten nadzwyczajny wydatek energii i siły, który czyniłem, pełniąc kilka urzędów jednocześnie, należy do przekroczeń, nadwyrężających niechybnie zdrowie człowieka, który to czyni. Lecz zdolność nie została w żaden sposób nadwyrężona.

Dlatego też, będąc człowiekiem, który sam jedynie rozporządza swoim zdrowiem i życiem, mogę zachować wszystkie urzędy, które dotąd miałem, kosztem nadwyrężania mego zdrowia, które zresztą całe życie tak samo nadwyrężałem.

Mógłbym być także, za zgodą Pana Prezydenta, a przypuszczam i za zgodą kolegów-ministrów, z którymi tak długo pracowałem i u których — jak sądzę — cieszę się wielką sym-

patią, wziąć dłuższy urlop, któryby dał mi możliwość postawić moją maszynę na nowo na szyny, by znowu zdrowie sobie nadwyreguła.

Jeżeli jednak tego nie uczyniłem i wniosłem Panu Prezydentowi podanie o zwolnienie mnie ze stanowiska szefa gabinetu, to uczyniłem tak z innych motywów i z innych powodów, które tu wyluszczyć, gdyż postanowiłem publicznie je wyjaśnić, tak, jak wyjaśniłem na posiedzeniu rady gabinetowej w obecności Pana Prezydenta na Zamku <sup>1)</sup>).

Pierwszym motywem jest fakt, iż nie znoszę organicznie urzędu szefa gabinetu, tak, jak on jest u nas postawiony konstytucyjnie. I dlatego przez cały czas pełnienia tego urzędu przestrzegałem Pana Prezydenta, iż nie będę w stanie długo tego urzędu znosić i ciągle mu doradzałem, by przygotował sobie w myśli co najmniej trzech czy czterech ludzi, którzyby kolejno mogli pełnić ten urząd, tak, by spocząć mogli od pełnienia urzędu, tak nonsensownie postawionego przez naszą konstytucję, jak to jest teraz.

Dla wyjaśnienia tej sprawy muszę porównać — co stałe przy pełnieniu tego urzędu czyniłem — urząd prezesa gabinetu z urzędem Prezydenta.

Prezydent, w naszej konstytucji, jest postawiony w sytuację najbardziej fałszywą, jaka dla człowieka stworzoną być może. Gdy z jednej strony jest reprezentantem Rzeczypospolitej Polskiej wszędzie i ciągle, to z drugiej strony nie ma żadnego prawa, aby mógł w jakimkolwiek bądź stopniu reprezentować siebie, swoje myśli, lub swoją pracę. Gdy więc jest najspecjalniej ze wszystkich wybrany na to, by był jeden, sam i stał najwyżej, to odebrano mu konstytucyjnie nawet cień jakiegokolwiek władzy, jakiegokolwiek możliwości ulżenia sobie w sytuacji i zrobienia z tak wyjątkowej pracy — na którą, dodam, wyjątkowo najzupełniej przysięga <sup>2)</sup>) — czegokolwiek, by mógł czuć się, jako człowiek, a nie jak jakiś podrzutek, rzucony na łaskę i niełaskę wszystkich.

Dość panom powiedzieć, że nie ma on prawa stworzyć sobie najbliższego otoczenia, nawet jeśli chodzi o lokajów czy pokojówki, bez innego człowieka, który może się na jego wybór nie zgodzić i narzucić mu osoby, dla niego niechętne. To znaczy, że naród przez swą konstytucję postępuje z człowiekiem wybranym, który, moralnie, będąc jedynym i stojąc naj-

---

<sup>1)</sup> Posiedzenie rady gabinetowej odbyło się dnia 25 czerwca 1928 r.

<sup>2)</sup> Por. t. IX, str. 19—20.

wyżej, odpowiada przed historią, postępuje tak nikczemnie i tak bezecznie, jak nie postępuje nikt w świecie nawet ze swoją utrzymanką lub z osobą, najzupełniej od siebie zależną.

Nie mogę przy tym nie dodać, że męczy mnie w tym wypadku stale wspomnienie mojej osobistej historii, gdy byłem Naczelnikiem Państwa i gdy po wojnie, zwycięsko przeze mnie przeprowadzonej, jako Naczelnny Wódz, zdecydowałem po długich wahaniach nie robić nic i pozostawić Polskę samą sobie. Wahania zaś moje tycząły się rozstrzygnięcia pytania: czy mam sejm, tak zwany suwerenny, sejm ladacznic — że nie użyję słowa, którym ówczesny Naczelnik Państwa, Józef Piłsudski, w swoich rozumowaniach stale sejm określał i które z powodu ludowego i jaskrawego brzmienia doskonale i ściśle charakteryzuje sejm suwerenny — rozpędzić i nacisnąć go nogą zwycięzcy tak, jak na to zasługiwał, — czy też wybrać tę drogę, którą istotnie historycznie wybrałem — pozostawić Polskę samą sobie. Może, gdybym był stanął na pierwszej drodze, nie potrzebowałaby Polska przeżywać później wypadków tak zwanych majowych.

Sejm ladacznic, pracujący w owe czasy nad konstytucją, w swoich obliczeniach co do wyboru przyszłego Prezydenta Rzeczypospolitej nigdy nie wahał się co do swoich przypuszczeń, iż na to stanowisko wybrany będzie nie kto inny, jak popularny nadzwyczajnie w całym narodzie, nigdy nie umiejący się shańbić chciwością pieniężną człowiek, który swoją zwycięsko przeprowadzoną wojną i siłą charakteru wyprowadził Polskę z chaosu i dał jej znacznie większe granice, niż te, które dla niej zakreślano wszędzie. Dlatego też praca konstytucyjna poszła w kierunku zrobienia przyszłemu Prezydentowi tylu przykrości i tyle — powiem — hańby życia, ile tylko zdziczałe i potwornie głupie umysły mogły wymyślić.

Chciano w ten sposób, jak ja to określam, konkurenta suwerenności posłów zasunąć gdzieś w kąt i zasypać możliwie śmieciem. Jeżeli ten niecny zamiar nie dotknął mnie, zaszło to jedynie dlatego, że m spsocił im historię i najspokojniej od pełnienia tego urzędu się usunął. Wtedy — jak wiadomo — pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej naprzód zhańbiono bezecnymi manifestacjami, a potem zabito — był to mój serdeczny przyjaciel — aby konkurent suwerenności posłów wiedział i rozumiał, czym grozi walka z suwerenami.

Przy pozostawieniu Prezydenta bez władzy, przy stworzeniu mu wszelkich możliwych świństw i wszystkich niecności, jakie są możliwe do pomyślenia, przeciwstawiono jemu,

jako mającego te świństwa i niecności robić, nie kogo innego, jak szefa gabinetu.

Szef gabinetu w naszej Konstytucji, w naszych zwyczajach i obyczajach wygląda jak «omnipotens», czyli wszechpotężny. Względnie niedawno, przy przeszłym sejmie, spróbowałem wykorzystać tę omnipotencję w kierunku odwrotnym, niż to myśli Konstytucja, to znaczy w kierunku odwrotnym, niż Prezydenta, — i odmówiłem zapłacenia pensji posłom, suwerenom, żeby i ich przekonać o omnipotencji pana szefa gabinetu.

Jednak ta omnipotencja, czy wszechpotęga, ma swoje duże i liczne «Schattenseite», czyli ciemne strony.

Zgodnie z moim pojęciem o pracy ludzkiej «wszystko» łączy się zawsze znakiem równania ze słowem «nic». Gdy szef gabinetu ma opiniować wszystko i do wszystkiego swój palec przyłożyć, to jeśli sumiennie ten obowiązek wypełnia, na pewno nie robi nic i czyni pracę swoją nieproduktywną, nieefektywną. Być może, iż mądry sejm ladczyń suwerennych miał i to na myśli, ażeby możliwie dużo suwerenności — specjalnie do kas skarbowych — zachować dla siebie, dla posłów do sejmku.

Jeżeli w przeciągu mego prawie dwuletniego urzędowania, jako prezes gabinetu <sup>1)</sup>, mogłem uczynić względnie dużo i wiele, to wyznaję, że stało się to możliwym jedynie dlatego, że dużą część swojej jakoby omnipotencji zrzuciłem na pomocnika swego, p. prof. Kazimierza Bartla, i w ten sposób oswobodziłem sobie czas na myśli i na wynalezienie metod do przeprowadzenia choć małej części tego, com zamierzał, stając się na urządzie szefa gabinetu polskiego. Rozumiem jednak dobrze, że gdybym sumiennie wypełniał wszystkie obowiązki szefa gabinetu, to nie zrobiłbym nic i to absolutnie nic w Polsce.

Na radzie gabinetowej u Pana Prezydenta na Zamku stwierdziłem, że urząd szefa gabinetu jest dlatego tak uciążliwym, iż całym zajęciem takiego pana jest niańczenie wszystkich podrzutek, które wszyscy mu podrzucają. A że pochodząc spod Wilna, słyszałem nieraz przekleństwo, brzmiące: «Kab ty cudze dzieci niańczył!» — z trwogą myślałem o doli takiego nieszczęśnika.

Więc idą naprzód wszyscy panowie ministrowie, mili koledzy gabinetowi, którzy ciągle i ustawicznie, czy to przy przeszkodach w swojej pracy, czy to chcąc coś uczynić extra,

<sup>1)</sup> To znaczy od 2 października 1926 r. do 27 czerwca 1928 r.

czy to zgodnie z polskim charakterem, prowadząc spory między sobą, podrzucają szefowi gabinetu kochane, pieszczone, a niekiedy zamorusane i niekochane dziatki do niańczenia. Sam proces tak zwanego «uzgadniania», który w procesie urzędniczym u nas zajmuje tak wygodne i tak wściekle rozłożyste miejsce, trwa zwykle tak nieznośnie długo i tyle zużywa papieru, iż wyznam otwarcie, że pomimo, iż proces ten jest nakazany maszynie państwowej, ani razu nie ośmieliłem się dotknąć stosu arkuszy, zapisanych maszynowym pismem, ze strachu, bym nie poszedł do szpitala wariatów. A jednak było to moim bezpośrednim obowiązkiem.

Wynalazłem sposób najodpowiedniejszy — zdaniem moim — uzgadniać samych panów ministrów, a nie ich urzędników, pozostawiając ministrom samym czytanie elukubracyj ich urzędników, potrzebnych jakoby do procesu uzgadniania.

Namiętność do centralizacji, istniejąca w sposób śmieszny i głupi w naszym narodzie, czyni pracę tak zabawną pod względem prawnym, że prawie trzy ćwierci porządku dziennego każdej Rady Ministrów wypełniają kwestie, jak — zmiany granic gmin w poszczególnych częściach państwa, pozwolenia na kupno nieruchomości cudzoziemcom, pozwolenia dla poszczególnych obywateli Polski na wstąpienie do Legii Cudzoziemskiej we Francji, zmiany na stanowiskach urzędowych względnie bardzo niskiej klasy, wszystkie odznaczenia z jakimkolwiek bądź odznaczeniem naszym czy cudzoziemskim, no i podobne jeszcze pięknotki naszych urzędzeń państwowych. Do wszystkich tych rzeczy pan prezes gabinetu musi rączkę przyłożyć i paluszkami wycisnąć swoje «placet». Przy sumiennym — powtarzam — spełnianiu swych obowiązków omnipotencją zniknąć musi gdzieś w powodzi papierów i to mnóstwo podrzuteczków tak maleńkich i tak drobniutek, zajmujących chociażby po trzy minuty czasu, zalewa swą liczbą tak szalenie prawdę o omnipotencji, że znika ona zupełnie, pozostawiając biednemu człowiekowi «ino sznur» <sup>1)</sup>). Do liczby tych podrzuteczków dodać należy namiętność protekcyjną Polaków i Polek, którzy i które z podziwu godną uporczywością chcą ustawicznie i ciągle tylko pięciu lub trzech minut dlatego, aby z szefa gabinetu zrobić albo pokątnego doradcę w ich prywatnych interesach, albo sędziego i eksperta w wynalazkach — to zwykle zajmuje pół godziny czasu, w pięciu minutach nie da się załatwić — albo uczynić go wykonawcą ich chęci usunięcia jakiegoś funkcjonariusza państwa lub, odwrotnie, wyzna-

<sup>1)</sup> Cytat ze słów Chochola w «Weselu» Wyspiańskiego.

czania na nieistniejące etaty nadzwyczajnie godnych młodzieńców, lub też zwolnienia od odpowiedzialności za nadużycia skarbowe całego mnóstwa niezwykle miłych i niezwykle serdecznych ludzi, którzy tylko przez namowy i jakieś dziwne machinacje sięgnęli palcami do worka skarbowego, albo wreszcie przy wysokiej znajomości jurysprudencji wśród Polaków i Polek — zatrzymania lub nawet skasowania procesów cywilnych.

Liczba więc podrzutków w ten sposób wzrasta bezmierne, tak, że nie można nie zniechęcić tego urzędu. Panowie zaś lekarze w swoim orzeczeniu stwierdzili, iż jedynym jeszcze ratunkiem przy pełnieniu tylu urzędów jest dla mnie zaniechanie jakiegokolwiek walki ze sobą, gdyż ta najwięcej kosztuje i najwięcej może zdrowie nadwyrężyć. Gdy ten wyrok usłyszałem, byłem najzupełniej zdecydowany prosić Pana Prezydenta o dymisję, gdyż przy mnóstwie podrzutków, które szef gabinetu ma do pilnowania, można się wściekać, lecz można też nie walczyć ze sobą. Natomiast, gdy pomyślałem o jednym obowiązku szefa gabinetu, z góry sobie powiedziałem, iż spokojnie pełnić tego urzędu nie mogę — mówię tu o smutnej konieczności dla szefa gabinetu — współpracowania z sejmem. Gdybym nie walczył z sobą, tobym nic innego nie czynił, jak bił i kopał panów posłów bez ustanku, gdyż mają metodę pracy taką, która z góry przeczy wszelkiej efektywności i produktywności tej pracy.

Gdy z uśmiechem patrzę na to, jak małe dzieci uroczyście i z nadzwyczajną powagą rozmawiają z lalką, jako z żywą zupełnie istotą, gdy nakazują jej różne czynności i same za nią tę czynność wypełniają, gdy — jak to u córek zauważyłem — posadziwszy przy sobie lalkę podczas obiadu, przysuwają do porcelanowej buzi łyżkę zupełnie poważnie, to mogę się uśmiechać, lecz, wyznaję, brać udziału w tej pracy nie jestem w stanie.

Lecz gdy panowie, tak szczerze i nienawistnie konkurujący w suwerenności z Panem Prezydentem i zazdrośnie strzegący swoich niczym nie zasłużonych przywilejów, używają w pracy tych metod najzupełniej nonsensownych, jak małe dzieci, podsuwające łyżkę strawy do porcelanowej buzi, to ja nie jestem w stanie ani tego słuchać, ani na to patrzeć. Sam proces pracy, polegający na pracy mówienia, należy do pomysłów najbardziej potwornych, jakie kiedykolwiek ktokolwiek wymyślił.

Sam należę do mówców, którzy, jak to widziałem na salach, umieją wzruszyć, umieją znaleźć formę, umieją powie-



dzieć tak, iż sala jest przykuta do ust mówcy. Lecz gdyby mnie kazano w przeciągu paru tygodni codziennie przemawiać publicznie, tobym sam siebie uważał za publiczną szmatę.

Tymczasem panowie posłowie mogą to czynić w sali sejmowej w przeciągu nie paru tygodni, lecz paru miesięcy. I trzeba widzieć tę salę, wysłuchującą tych przemówień w sposób najbardziej ubliżający powadze i porządkowi, i panów posłów, zachowujących się tak, jakby ta sala była szynkiem. Gdy jeden mówi, piętnastu panów chodzi po sali, załatwiając jakieś prywatne interesiki — czterdziestu panów głośno między sobą rozmawia, pokazując mówcy plecy — stu panów opowiada sobie anegdotki mniej lub więcej nieprzywoite i tylko panowie ministrowie muszą jakoby zachowywać się w takim miejscu przyzwoicie. Każdy z posłów ma prawo wrzeszczeć, krzyczeć, ma prawo rzucać obelgi, ma prawo oszczercze pisać interpelacje, dotyczące honoru innych, ma prawo i przywilej zachowywać się jak świnia i łajdak, natomiast ci, co tak ciężko pracują, jak to jest z ministrami, pobierając za szaloną pracę jakieś głupie grosze, muszą zewnątrz udawać nadzwyczajny dla tej sali szacunek.

Wszystkim panom posłom wolno mówić od rzeczy, nie przystępując ani jednym słowem do sprawy, która jest na porządku, i mówić to często tak nudno, tak piekielnie nużącym językiem i formą, że można dostać boleści żołądkowych.

Ładnieby wyglądała ta sala, gdybym, słuchając zaleceń doktorów, nie zechciał walczyć ze sobą!

Stwierdzam stanowczo, że tych piekielnych nudów, które z sali sejmowej wieją, nie mógłbym wytrzymać nawet pół godziny. Przy przeszłym sejmie, który zawsze nazywałem sejmem korupcji, nieraz musiałem się przygotowywać do przemówienia, jako szef rządu, z góry będąc przygotowany — gdy przemówię publicznie z tej sali, będzie to ostatni dzień posiedzenia sejmu. Miałem wtedy przygotowanych parę określeń metod pracy sejmowej, które tu powtórzę. Gdy byłem przygotowany mówić o metodzie pracy za pomocą stałych i ustawicznych przemówień, chciałem stwierdzić, że atmosfera w sali przesiąka stopniowo nudą bardzo silnie i do tego stopnia, że staje się trującą. «Nawet lotne muchy nie wytrzymują waszego, panowie posłowie, gadania, do tego stopnia, iż żadna na inną muchę już nie skacze, a gdy która leniwie to uczyni, to tamta nawet skrzydełek nie podnosi, na pół już zdechła z nudów».

Chciałem przytoczyć jedno miłe bardzo dla mnie porównanie, które uczynił — mówiąc o pracy parlamentarnej — je-

den z wybitnych parlamentarzystów francuskich. Twierdził on, iż gdy myśli o pracy parlamentarnej, w której żywy brał udział, widzi na szynach ciężką lokomotywę, pracującą pełną parą; widzi palaczy, podrzucających pod kocioł olbrzymimi łopatomami węgiel; maszynę, ślizgającą się po szynach z powodu ciężaru, który za sobą wlecze i... zaprzęzoną nie do czego innego, jak szpilki, jako produktu ciężkiej pracy maszyny, przeciąganego na niewielką przestrzeń <sup>1)</sup>.

Osobiście znalazłem i inne porównanie, mianowicie — w kryminalistyce angielskiej był okres czasu, gdy pod naciskiem t. zw. czartystów, czyli związków zawodowych, postanowiono zaniechać konkurencji taniej pracy więźniów, skazanych na ciężkie roboty («Hard Labour»). Zdecydowano wtedy zająć więźniów ciężką pracą bez żadnego efektu. Zbudowano mianowicie na strychach więzień duże miechy, poruszane siłą mięśni ludzkich i wydmuchujące powietrze do powietrza. Zmuszano więc więźniów do katorżnej pracy w pocie czoła bez żadnego efektu i ujrzenia celu tej dziwnej pracy. Musiano jednak ze względów humanitarnych zaniechać tego systemu po pewnym czasie, gdyż trzecia część więźniów przeszła do szpitala wariatów. Ileż to razy, gdy przyglądałem się systemowi pracy sejmu, który w pocie czoła, nudnie i przewlekłe próbuje przekonać świat, że najlepszą metodą technicznej pracy jest wygłoszona od rzeczy mowa, przypominałem sobie tę trzecią część biednych katorżników angielskich, co od głupich miechów, dmuchających powietrze w powietrze, zmieniali swój pobyt w domu dla «Hard Labour» na hałasy, krzyki i nonsensowne działania mieszkańców szpitala wariatów.

Dodam, dla uniknięcia jakiegokolwiek nieporozumienia, że sam osobiście, jako dyktator Polski, sejm zwołałem, że mogąc zgnieść, jak robactwo, sejm ladacznic, po zakończonej zwycięsko wojnie, tego nie uczyniłem, że cały czas, jako szef gabinetu, postępowałem bardziej konstytucyjnie, niż sam sejm, i że zatem nikt oskarżyć mnie nie może o braki demokratycznych pojęć, będących w mojej głowie. I bardzobym sobie życzył, aby panowie posłowie nie identyfikowali swojej metody pracy z demokratyzmem. Zaszczytu tą pracą demokratyzmowi nie przynoszą.

Gdy więc trzeci sejm Rzeczypospolitej rozpoczął swą pracę i ja miałem możliwość, jako szef gabinetu, widzieć nowe tryumfy metody pracy sejmu, tak sprzeczne z moją duszą,

---

<sup>1)</sup> Piłsudski cytował nieraz w rozmowach to zdanie jako opinię wybitnego przywódcy socjalistów francuskich Jana Jaures'a.

która nie znosi pracować bez efektu widocznego, i tak sprzeczące z moim organizmem, który kwadransu jednego nie może siebie upodabniać do owej małej, nędznej, na pół zdechłej muchy, zdecydowałem, że mam do wyboru raz jeszcze — zaniechać wszelkiej współpracy z sejmem i stanąć do dyspozycji Pana Prezydenta, aby okrojować nowe prawa w Polsce, albo ustąpić ze stanowiska szefa gabinetu polskiego, który musi z sejmem współpracować.

Wybrałem to drugie i dlatego przestałem być szefem gabinetu polskiego. Powtórzyłem przy tym Panu Prezydentowi raz jeszcze moją radę, by szukał poza mną i p. Kazimierzem Bartlem jeszcze kilku ludzi, którzyby «Hard Labour» pracy szefa gabinetu wytrzymać czas pewien mogli. Z drugiej strony dodałem, że przy każdym cięższym kryzysie staję do dyspozycji Pana Prezydenta, jako szef gabinetu, biorący śmiało decyzję na siebie i wyciągający równie śmiało konsekwencje ze swoich decyzyj. Dodam, że za obopólną zgodą Pana Prezydenta i szefa gabinetu, p. Bartla, dyrektywy szefa gabinetu w stosunku do polityki międzynarodowej polskiej, jak dawniej, pozostają w moim ręku.

## PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE LEGIONISTÓW W WILNIE

(12 sierpnia 1928 r.)

*Doroczny zjazd legionistów w rocznicę aktu 6 sierpnia został zwołany w 1928 r. do Wilna na dzień 12 sierpnia. W dniu tym Piłsudski w sali «Reduty» wygłosił niżej przytoczone przemówienie. Jest ono podzięką Wodza swoim żołnierzom, za to, że go kochali, że byli z niego dumni, za to, że mu krwią swą i życiem dali «prezent» z rodzinnego jego miasta, a za co, «gdy serce swym grobem poi — serce swe na Rossie kładzie» wśród mogił swoich żołnierzy. Ostatnie to przemówienie Piłsudskiego na zjeździe legionistów.*

*Podajemy je według «Monitora Polskiego» z dn. 13 sierpnia 1928 r.*

Szanowne panie i kochani koledzy!

Gdy w Wilnie mam mówić, nie chcę w swej mowie ni zgrzytów, ni goryczy. Małym chłopcem biegałem tu po ulicach. Do szkoły tu chodziłem i do miasta. Uczyłem się tu przywiązywać, jak uczyłem się myśleć i uczyłem się kochać. Gdy więc w Wilnie mówię, nie szukam goryczy, nie wołam zgrzytów.